



JULIA BRYLEWSKA

MICHAEL



Copyright © for the text by Julia Brylewska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Strączyńska
Korekta: Agata Bogusławska, Edyta Giersz, Iwona Wieczorek-Bartkowiak
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-68402-37-7 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)
✂ Wyd_Niezwykłe
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

JULIA BRYLEWSKA

MICHAEL

Michael porusza tematy, które znacznie wykraczają poza normy moralne przyjęte w społeczeństwie. Książka nie jest przeznaczona dla wrażliwych czytelników. Przedstawione wydarzenia oraz zachowania są fikcją literacką i nie powinny stanowić wzoru do naśladowania.

Historia nie ma na celu urażenia osób dotkniętych przemocą.

Drogi Czytelniku,

Potwory, którymi w dzieciństwie straszili Cię rodzice, istnieją naprawdę. Jeden z nich właśnie na Ciebie czeka. Bądź więc ostrożny, by jego urok nie zwiódł Cię na pokuszenie.

*Dla wszystkich kobiet, które stanęły twarzą w twarz
z potworem i miały dość siły, aby o siebie zawalczyć.*

Prolog

*Kwiat, co dziś uśmiechem się ukłoni,
umrze jutro w waszej dłoni.*

E. E. Cummings

16 miesięcy wcześniej

Jak niemal wszystko, także i ta historia zaczyna się od śmierci.

W poniedziałkowy poranek detektyw Gordon wyszedł na mroźne grudniowe powietrze i przystanął pośrodku chodnika. Ulice były ponuro puste. Co jakiś czas obok komendy przetaczał się samochód, ale nawet ruch uliczny wydawał się tego dnia kompletnie wymarły. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby z domu w taką pogodę, gdyby nie zmusiło go do tego coś nagłego.

Praca, wypadek lub – jak miało to miejsce w przypadku Wayne’a Gordona – niezdrowe zamiłowanie do papierosów. Właśnie sięgał po paczkę, gdy szklane drzwi za jego plecami otworzyły się i zamknęły z trzaskiem przesiąkniętym aż zbyt żywiołowym entuzjazmem, który o szóstej rano mogła mieć tylko jedna znana mu osoba.

Harrison Rand pojawił się u jego boku, a Gordon przeklął go w myślach. Po prawie trzech dekadach pracy w pojedynkę przydzielono mu partnera, zupełnie jakby pięćdziesiąt lat, które Wayne miał na karku, stanowiło niewypowiedzianą granicę, po której przekroczeniu umysł nie był już w stanie działać tak sprawnie i potrzebował dodatkowego kopniaka młodzieńczej witalności.

Młodość Randa niosła za sobą korzyści – Wayne nie musiał już uganiać się za uciekającymi świadkami lub podejrzanymi – ale heroiczna chęć zbawienia całego świata, jaka wypełniała serce tego chłopaka, wydawała mu się nie tyle komiczna, co żałosna.

Nie pamiętał, czy w czasach, kiedy zaczynał pracę w tym zawodzie, też taki był. Być może równie uparcie wierzył, że odznaka czyniła z niego bohatera. Jednak z biegiem lat zrozumiał, że nie był bohaterem ani zbawcą.

I wiedział, że Rand też to zrozumie. Pewnego dnia z rozczarowaniem odkryje, że znacznie więcej ludzi przyjdzie mu pogrzebać, niż uratować, ale teraz... Teraz był jeszcze przepelniony nadzieją i optymizmem, które w poniedziałkowy piekielnie zimny poranek wydawały się detektywowi kurewsko irytujące.

Harrison wreszcie przerwał ciszę:

– W willi na obrzeżach miasta znaleziono zwłoki nastolatki.

Gordon na moment przymknął ciężkie powieki. Z jego płuc wyrwało się pełne zmęczenia westchnienie. Mimowolnie pomyślał o kawie, którą zaparzył przed wyjściem na papierosa i której nie będzie dane mu wypić. Stała na jego biurku, tuż obok zdjęcia jego żony Jane i ich psa dumnie noszącego imię Lucky.

W samochodzie ponownie sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął papierosa z przesiąkniętej wilgocią paczki, wsunął go do ust i wyjeżdżając na ulicę, zaciągnął się dymem, który przyjemnie połaskotał go w gardle.

Ciszę przerwało kaszlnięcie Randa.

Wayne wiedział, że dzieciak nie znosił papierosów. Specjalnie nie otworzył okna, by dym osadził się w małej przestrzeni samochodu. Był paskudnym partnerem i nie zamierzał porzucać nawyków dla komfortu jakiegoś szczeniaka. No i było cholernie zimno, a ogrzewanie w starym subaru ledwie dawało radę, więc wpuszczenie do środka lodowatego powietrza było ostatnim, na co miał ochotę.

Gdy dotarli do najbliższego skrzyżowania, Rand podał mu adres, a potem zapytał, czy powinien włączyć nawigację, jednak Gordon posłał mu tylko krzywy uśmiech.

Spędził na ulicach tego miasta więcej lat niż jakikolwiek inny policjant. Znał każdy kąt jak własną kieszeń.

Zdążył wypalić niespełna jednego papierosa, zanim przekroczyli niewidzialną granicę oddzielającą centrum wschodniego Bostonu od bogatszych dzielnic, gdzie zabudowa nie była tak ciasna i bliźniaczo do siebie podobna jak jeszcze kilka przecznic wcześniej.

Odległości pomiędzy ogromnymi budynkami, zazwyczaj otoczonymi jeszcze większymi ogrodami z idealnie przystrzyżoną i zbyt zieloną trawą, sięgały nawet kilku mil.

Cholerni bogacze, zakpił w myślach Gordon.

– To ostatni dom po prawej. – Głos Randa przerwał cierpką ciszę wypełniającą samochód równie gęsto, co dym papierosowy.

Auto przejechało przez bramę i zatrzymało się na kamiennym podjeździe, tuż obok czarnego wozu techników.

Posiadłość prezentowała się okazale. Zbudowana z ciemnego kamienia i częściowo obrośnięta bluszczem wyglądała jak domy, które budowano w Anglii w latach pięćdziesiątych. Za fasadą staromodności kryło się bogate i nowoczesne wnętrze. Ktoś, kogo było stać na dom w tej okolicy, mógł sobie pozwolić na wszelkie udogodnienia.

Gordon wysiadł na zewnątrz bez pośpiechu i wykrzywił wargi w grymasie, kiedy chłodny powiew wiatru wdarł się pod poły jego płaszcz. Gdy uniósł wzrok, kilka kropli zimnego deszczu opadło na jego pokryte bruzdami policzki. Rzucił niedopałek na szarą kostkę brukową i ruszył do wejścia.

Rand był kilka kroków przed nim. Jego chude ramiona również okrywał płaszcz, jednak był nowszy i o wiele bardziej elegancki niż wytarty prochowiec detektywa.

W otwartych drzwiach czekał na nich młody funkcjonariusz, który bez marnowania czasu na zbędne uprzejmości od razu poprowadził ich na górę.

– Ofiarą jest osiemnastoletnia Lexa Harrington – poinformował.

Wewnątrz domu panował przenikliwy chłód, który pojawiał się zawsze tam, gdzie zawitała śmierć. Wydawał się nieprzyjemnie lepki, jakby mógł przywierać do ubrań równie mocno, co zapach.

Wayne Gordon czuł go na skórze zbyt wiele razy, by pomylić go z panującą na zewnątrz grudniową temperaturą.

– To jej pokój? – zapytał, kiedy dotarli na parter, gdzie wąski korytarz zdawał się ciągnąć bez końca. Ze wszystkich par drzwi tylko jedno były otwarte.

Funkcjonariusz przepuścił detektywa przodem.

– Tak. Ciało znajduje się w łazience.

Rand zatrzymał się w drzwiach, podczas gdy Gordon i drugi policjant zniknęli w pomieszczeniu obok. Harrison powoli i uważnie przestudiował pokój. Na pierwszy rzut oka nie wzbudzał podejrzeń – dębowe łóżko, szafa wykonana z podobnego drewna, biurko i wyjście na balkon.

Dopiero po chwili umysł dopuścił do siebie świadomość, że nic nie wskazywało na to, by mieszkała tu młoda osoba. Pokój nie przypominał pokoju nastolatki. Żadnych zdjęć i plakatów. Brak książek, kolorowych poduszek i plotkarskich czasopism. Rzeczy w szafie były uporządkowane w kolejności kolorystycznej. Jedyne, co przełamywało panującą tu szarość, był bukiet pomarańczowych róż ustawiony na nocnym stoliku. Ich żywy kolor przykuwał wzrok.

Rand przeszedł do łazienki – małej i nieskazitelnie czystej, nie licząc niewielkiej kałuży pod stojącą na środku wanną. Gdy Jim Corren, przysadzisty patolog, się odsunął, to właśnie w niej Rand ujrzał zwłoki. Musiał postawić kolejny krok w przód, by spojrzeć na twarz nastolatki.

Lexa Harrington wyglądała spokojnie. Gdyby nie otaczająca jej nagie ciało amarantowa woda, mężczyzna śmiałby sądzić, że po prostu spała. I gdyby nie oczy, intensywnie zielone i zastygłe w bezruchu. Wąskie wargi miała zaciśnięte, a długie czarne włosy okalały jej pobladłą, drobną twarz niczym kaptur.

Jej szczupła dłoń o długich palcach luźno zwisała za krawędź porcelanowej wanny, po której ku podłodze cienką strużką spłynęła szkarłatna krew.

– Sądząc po temperaturze ciała, zgon nastąpił kilka godzin temu. Mniej więcej między drugą a trzecią w nocy – rzucił rzeczowym tonem patolog, skupiając spojrzenie na Gordonie. – Przyczynę zgonu będę mógł określić dopiero po sekcji, ale podłużne rozcięcia na nadgarstkach sugerują podcięcie żył.

– Spokojna i cicha śmierć – rzucił pod nosem Rand. – Po prostu się wykrwawiła.

Gordon, ignorując jego słowa, zwrócił się do patologa:

– Ktoś jej w tym pomógł?

– Nie sądzę. Brak naskórka pod paznokciami, zasinień czy zadrapań. Nie broniła się.

Detektyw odwrócił się do funkcjonariusza, który czekał na nich przy wejściu. Jego blada twarz kazała Gordonowi sądzić, że chłopak jeszcze nie przywykł do podobnych widoków.

– Wiadomo, czy ofiara cierpiała na choroby psychiczne?

– Nie rozmawiałem jeszcze z jej rodziną. Bracia czekają w salonie.

Rand przesunął się nieznacznie o krok w stronę wanny. Czubki jego butów zatrzymały się kilka cali przed rozlaną na podłodze wodą. Tym razem wypowiedział słowa głośniej:

– „...samobójstwa nie popełniają ludzie chorzy psychicznie, tylko nieszczęśliwi, którzy wolą zgasnąć od razu, niż wypalać się powoli”. – Wyprostował się, czując na sobie spojrzenie Gordona. – *Dwie strony medalu*¹ – wyjaśnił, a potem, chcąc szybko

¹ *Dwie strony medalu* – książka z 2012 roku autorstwa J.M.R. Michalskiego (przyp. aut.).

zatrzeć ślad po wcześniej wypowiedzianych słowach, dodał:

– Porozmawiam z rodziną ofiary.

– Zaprowadzę pana, detektywie – zaproponował funkcjonariusz.

Gdy Wayne i Corren zostali sami, patolog zapytał:

– Syndrom zbawiciela?

– Zgaśnie szybciej, niż sądzi.

– To jeszcze dzieciak. Odpuść mu. Na komendzie plotkują, że robisz mu prawdziwą szkołę przetrwania.

Detektyw zignorował słowa Jima i jeszcze raz przesunął wzrokiem po podłodze. Białe kafelki były niemal sterylne czyste, nie licząc niewielkiej plamy wody zmieszanej z ciemną krwią. Żadnych śladów obuwia czy innych oznak, że w chwili śmierci Lexy Harrington w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze.

Potem spojrzał na jej twarz. Pierwszy raz, odkąd znalazł się w tym pomieszczeniu, pozwolił sobie poświęcić więcej uwagi ofierze, a nie otaczającej ją przestrzeni.

Lexa Harrington umarła w ciszy i samotności. W jej szeroko otwartych oczach kryła się odpowiedź na wszystkie pytania, których nikt nigdy miał nie zadać.

Funkcjonariusz zaprowadził Randa do salonu. Składające się z kilku szarych ścian i jasnych kanap pomieszczenie wydawało się równie puste i zimne, co pokój nastolatki. Po podłodze wciąż przetaczało się mroźne powietrze, które wdzierało się do wnętrza rezydencji przez szeroko otwarte drzwi wejściowe.

Eric Harrington zajmował miejsce na jednej z sof. Pochylony delikatnie w przód, z łokciami opartymi na kolanach, próbował zapanować nad drżeniem dłoni. Był szczupłym, wysokim mężczyzną o jasnych, długich do linii żuchwy włosach. Miał na sobie

garnitur w odcieniu krwistej czerwieni. Zerwał się z miejsca, gdy dwóch funkcjonariuszy pojawiło się w salonie.

– Proszę usiąść, panie Harrington – polecił spokojnie Rand. Sam zajął miejsce po drugiej stronie szklanego stolika. – Chciałbym zamienić z panem kilka słów, jeżeli oczywiście czuje się pan na siłach.

Eric Harrington skinął głową, nerwowo zerkając w stronę schodów.

– Możemy porozmawiać na komisariacie, gdy poczuje się pan lepiej...

– Nie – przerwał wypowiedź Randa. – Przepraszam – dodał nieco spokojniejszym tonem. – Po prostu chciałbym mieć to za sobą.

– W porządku. Może chce pan czegoś do picia?

– Woda jest w kuchni.

Harrison zerknął w kierunku młodszego funkcjonariusza, a gdy ten wyszedł z salonu, zwrócił się do jasnowłosego mężczyzny:

– Gdzie pański brat?

– Jest u siebie. – Nie wskazał konkretnego kierunku, ale nieznaczne drgnięcie jego ciała kazało detektywowi sądzić, że miał na myśli zachodnią część budynku. Tę, w której nie paliło się żadne światło, gdy z Wayneem parkowali samochód na kamiennym podjeździe. – Nie czuje się najlepiej...

– Możemy wezwać pogotowie lub psychologa.

Harrington pokręcił głową.

– To nie będzie konieczne. Michael zwykle radzi sobie ze wszystkim... sam.

– Rozumiem.

Rand uważnie przyjrzał się twarzy Erica Harringtona. Jego policzki nie były mokre, a oczy nie wydawały się opuchnięte. Nie płakał.

– Gdzie przebywał pan pomiędzy godziną drugą a trzecią w nocy?

Harrington splótł dłonie tak mocno, że jego knykcie pobieleały. – W *Vanity*². – Odpowiedź padła niemal natychmiast, ale zabrzmiała szczerze i naturalnie. Nie była więc ani wymuszona, ani wcześniej przećwiczona czy przygotowana. – To znaczy... w klubie za miastem. Michael jest jego właścicielem. Przyjechałem tam około północy i wyjechałem krótko po czwartej rano.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Rosalynn. To nasza ciotka. Pracownicy klubu. Jestem pewien, że nagrały mnie też kamery, które znajdują się przy wejściu. Dlaczego pan o to pyta?

– To rutynowa czynność – zapewnił. – Co stało się potem, gdy opuścił pan klub po czwartej rano?

– Przyjechaliśmy... Ja i Michael przyjechaliśmy tutaj.

– O czwartej rano? – Rand nie krył zdziwienia. – Mieszka pan tutaj, panie Harrington?

– Nie, ale brat miał mi pożyczyć pieniądze. Trzyma je w sejfie w gabinecie. Sprawa była dość pilna i nie mogłem czekać.

Harrison Rand skinął głową.

– Przyjechaliście tutaj i...

– Michael poszedł po pieniądze. Ja czekałem na niego w korytarzu. Wtedy zobaczyłem światło na piętrze.

– Zdziwił się pan?

– Nie. Lexa często przesiaduje do późna, więc... – Eric Harrington gwałtownie zamilkł, a na jego twarzy odmalował się smutek tak głęboki, że dotąd młodzieńcze oblicze wydawało się postarzyć o lata w zaledwie kilka sekund. – Lexa często przesiadywała do późna – poprawił się. Jego głos był znacznie cichszy, niczym szept, który nie był w stanie przedostać się przez duszącą świadomość, że jego siostry już tu nie było. – Postanowiłem do niej pójść i zagonić ją do łóżka.

– Wszedł pan do jej pokoju?

² *Vanity* – (z ang.) próżność (przyj. aut.).

– Tak, ale jej tam nie znalazłem. Drzwi do łazienki były otwarte. Słyszałem kapanie wody. Zapukałem we framugę, potem wypowiedziałem jej imię. Dwa razy. – Pustym wzrokiem wpatrywał się we własne dłonie. Wciąż drżały. Z każdą chwilą coraz mocniej. – I wtedy ją zobaczyłem. Leżała w wannie. Myślałem, że zasnęła, więc ruszyłem w jej stronę.

– Nie dostrzegł pan krwi?

Harrington potrząsnął głową, a na jego twarzy pojawił się grymas. Był mieszanką wściekłości, żalu i smutku.

– Nie wiem. Boże, wszystko wydawało się zamazane. Nie pamiętam, czy ją zauważyłem, czy nie.

– Rozumiem.

– Chciałem po prostu wyciągnąć stamtąd Lexę, upewnić się, że nic jej nie jest...

– Ostatecznie pan tego nie zrobił?

– Nie. Michael pojawił się tuż obok i powiedział, że mam jej nie dotykać. Zatrzymał mnie, zanim zdołałem podejść bliżej.

– Dlaczego?

Wargi Erica zadrżały, zanim z jego ust padło tych kilka trudnych do wypowiedzenia słów:

– Bo nie żyła.

– Dlaczego pana brat nie próbował do niej podejść? Pan chciał sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, nawet jeśli podświadomość podpowiadała panu, jaka była prawda. To przecież naturalny odruch.

– Michael i ja różnimy się od siebie. On nie pozwala sobie na podobne... – zawiesił głos, by po chwili dokończyć niepewnie – na podobne odruchy.

– Nawet w stosunku do własnej siostry?

Harrington uniósł podbródek. Spojrzał na Randa i zaczął:

– Lexa nie była...

– Lexa Harrington nie była ich siostrą.

Wayne Gordon pojawił się nagle, wychodząc z cienia oddzielającego salon od pozostałej części posiadłości. Słowa, które wypowiedział, zawisły w powietrzu.

Stanął tuż za Randem, schował dłonie w kieszeniach starego płaszcza i kontynuował bez cienia emocji w głosie:

– Ani prawdziwą, ani przyszywaną. Lexa była córką kochanki ich ojca. Gdy ich matka dowiedziała się o zdradzie, zabiła ich oboje. Michael Harrington adoptował Lexę. Sąd przyznał mu opiekę, bo dziewczyna nie miała żadnych innych krewnych. Miała wówczas niespełna piętnaście lat.

Wayne przeniósł wzrok na Erica Harringtona.

– Prowadziłem sprawę zabójstwa Williama Harringtona i Winony Burton. To Lexa znalazła wtedy matkę i jej ówczesnego kochanka.

Harrington przytaknął.

– Nie była naszą siostrą, ale traktowaliśmy ją tak, jakby rzeczywiście nią była. Michael próbował jej pomóc, dlatego się nią zaopiekował. Obaj czuliśmy taki obowiązek. W końcu to przez naszą matkę została zupełnie sama.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że pana brat próbował jej pomóc? – zapytał Rand.

– Lexa po śmierci matki zamknęła się w sobie. Michael zapewnił jej nauczanie domowe, zapisał ją do najlepszego psychologa w mieście, ale ona nie chciała z nikim o tym rozmawiać. Właściwie rozmawiała tylko z moim bratem. Był jedyną osobą, której ufała. Od innych trzymała się z daleka. Całymi dniami siedziała w bibliotece, którą kazał zbudować specjalnie dla niej, i czytała książki. Naprawdę kochała czytać. Michael cały czas kupował jej nowe egzemplarze.

– Jaki miał pan kontakt z siostrą?

– Rok temu wyjechałem do Londynu. Wróciłem dwa tygodnie temu. Musiałem załatwić kilka spraw na mieście i dopiero później zamierzałem spędzić trochę czasu z Lexą. Czasami do

niej dzwoniłem. Opowiadała mi o książkach, które przeczytała w ostatnim czasie. Miałem wrażenie, że jest z nią lepiej. Nigdy bym nie przypuszczał, że ona... – Spuścił wzrok. – Że zrobi sobie krzywdę. – Spojrzał w oczy młodego detektywa. – Nie cierpiała, prawda?

Rand powoli pokręcił głową. Choć nie miał co do tego pewności, jakiś ludzki odruch nie pozwolił mu tak po prostu powiedzieć: „Przykro mi”. Niekiedy kłamstwo było okrutną i brutalną koniecznością.

- Nie – odparł spokojnie. – Podejrzewam, że po prostu zasnęła. Z płuc Harringtona wyrwał się drżący oddech.
- To dobrze.

Wayne nie silił się na podobne czułości czy delikatność. Wprost zapytał:

– Czy pana zdaniem istniał jakiś powód, dla którego pańska siostra postanowiła odebrać sobie życie?

– Powód? – powtórzył mężczyzna. – Tak, jak mówiłem, ostatnio miałem wrażenie, że czuje się lepiej.

– W stadium głębokiej depresji nagła poprawa nastroju jest częstym zjawiskiem. – Rand czuł na sobie spojrzenie detektywa, jakby ten próbował go bezgłośnie skarcić.

Eric znowu uciekł wzrokiem gdzieś w dół.

– Gdybym wiedział...

– Obawiam się, że nie mógł pan nic zrobić. Proszę się tym nie zadrećzać. Teraz nie ma to już sensu.

Wayne zakończył rozmowę słowami:

– Gdy pański brat poczuje się lepiej, proszę powiedzieć mu, żeby się z nami skontaktował.

– Oczywiście.

Eric Harrington wstał, jednak nie odprowadził ich do wyjścia. Nie ruszył się z miejsca pośrodku salonu, jakby podeszwy jego butów przywarły do drewnianych paneli. W milczeniu patrzył, jak ciemne płaszcze dwójki detektywów znikają w mroku korytarza.

Przy wyjściu z kuchni pojawił się młody funkcjonariusz. W ręce trzymał szklankę.

– Nie mogłem znaleźć wody – wymamrotał.

Wayne wyszedł z posiadłości, natomiast Rand jedynie pokręcił głową, a w następnej chwili dołączył do detektywa.

– Nie wiedziałem, że rodzina Harringtonów ma taką – jego czarne brwi ściągnęły się w konsternacji – trudną przeszłość.

– Mają pieniądze, więc zadbali o to, by media przestały o tym mówić szybciej, niż dzieje się to w przypadku innych podobnych spraw. – Wayne Gordon wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni i ruszył w kierunku zaparkowanego nieopodal auta.

Rand zastanawiał się, czy zrobili to dla własnego dobra, czy może kierowali się dobrem Lexy Harrington, którą wzięli pod opiekę. Nagłówki gazet krzyczące o morderstwie jej matki zapewne nie ułatwiłyby dziewczynie dojścia do siebie.

– Co stało się z ich matką?

– Została umieszczona w zakładzie psychiatrycznym, ale nie zabawiła tam zbyt długo. Trzy miesiące później powiesiła się we własnym pokoju.

Z nieba zaczęły spadać pierwsze krople mroźnego deszczu. Ten dzień zapowiadał się na równie ponury, jak każdy poprzedni od ponad miesiąca. Zima na dobre rozgościła się w Bostonie i jakby w cichej obietnicy, że nie odejdzie tak szybko, raczyła mieszkańców morderczą pogodą.

– Nie jestem pewien, czy Lexa Harrington rzeczywiście odebrała sobie życie.

Wayne przystanął mniej więcej w połowie kamiennego podjazdu, odwrócił się i obdarzył Randa zmęczonym spojrzeniem.

– Na co tym razem wpadłeś, geniuszu? – zakpił.

– Na stoliku obok łóżka w wazonie stał bukiet róż.

– I?

– Były świeżo ścięte. Nie mogły mieć więcej niż dzień lub dwa. Czy ktoś, kto planuje zakończyć swoje życie, trudziłby się, by kupić kwiaty?

– Eric Harrington powiedział, że jego siostra praktycznie nie wychodziła z domu. To nie ona kupiła kwiaty.

– Były prezentem?

Wayne Gordon wzruszył niedbale ramionami.

– Być może.

– W takim razie brat musiał ją bardzo kochać.

– Michael Harrington nie był jej bratem – rzucił, otwierając drzwi służbowego samochodu. – Żaden z nich nie był.

Podczas gdy Gordon wszedł do auta, Rand odwrócił głowę i spojrzał w kierunku posiadłości. W zachodniej części budynku wszystkie światła były zgaszone. Okna wypełniała gęsta ciemność.

Gdy w jednym z nich poruszyła się ciężka zasłona, młody detektyw nie mógł już tego dostrzec. Odwrócił się i wszedł do samochodu, nawet nie podejrzewając, że historia tej rodziny kryła w sobie znacznie więcej mroku.